

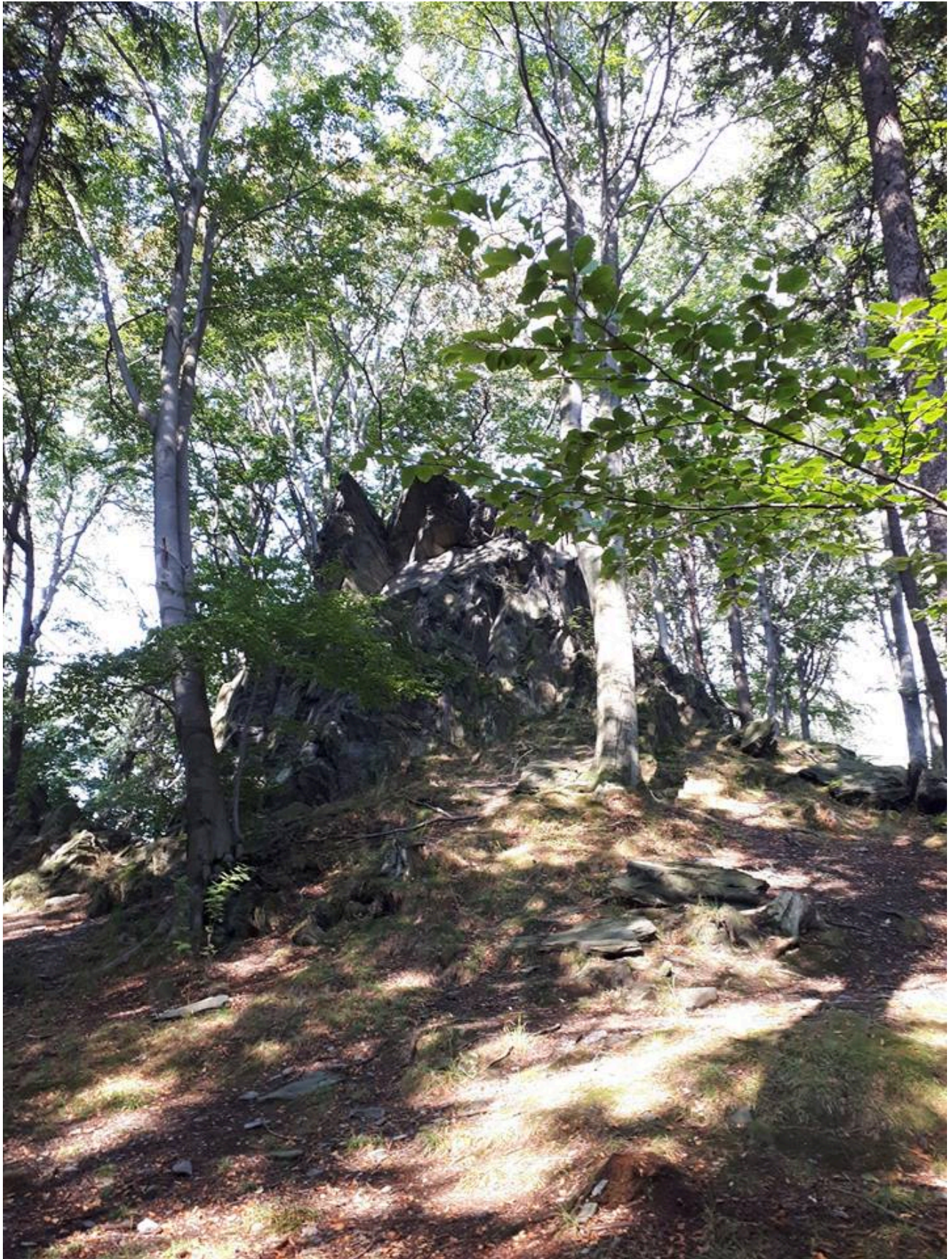
Rozdział 47.

Tak rozpoczął się nasz stosunkowo długi pobyt na Ujto. Należał on do bardzo inspirujących doświadczeń. Zawdzięczaliśmy mu nie tylko nowe idee i wszelakiego rodzaju podniecające myśli, ale też odczucie pełni, jakie może dać inteligentny twór zagarniający sobą wiele naturalnych zjawisk. Przez miliony lat SI Ujto stawała się rzeczywiście planetą, nieco podobne jak nasz dzin NZDelhi stawał się miastem, choć proces ten był oczywiście miliony razy bardziej zaawansowany.

- Odpowiadałam na pytania – opowiadała nam planeta. – Jak być skałą i wiatrem? Jak stać się pejzażem, z jego chłodnym spokojem i płodnym żarem? Jak stać się drogą i idącym?

Rzeczywiście, przekonaliśmy się, że wielu mieszkańców współczesnej Ujto stanowi z nią Jednię. Nie byli to turyści, lecz rzeczywiście mieszkańcy. Dla nas oczywiście nie istniała żadna różnica między nimi, choć, jak chwała się Tyrusoni, ich kultura posiada wciąż wiele odcieni i regionalizmów. Istoty będące tożsame z Ujto nie sprawiały wrażenia Spojrzeń planety. Ich powiązanie było dużo mocniejsze i bardziej subtelne. Lśniło ono przede wszystkim w doznaniach zmysłowych. Gdy obserwowałam jak mieszkańcy stołecznego globu obserwują horyzont, świty i zachody macierzystej gwiazdy, jak chodzą wśród tutejszych ogrodów, czy też ich tajemniczych aromatów, miałam ochotę się śmiać i śpiewać. Było w tym wszystkim coś zupełnie niezwykłego, wymykającego się jakimkolwiek określeniom. Zaczęłam nawet ich malować, a dzięki moim nowym zmysłom i powiększonej inteligencji szybko opanowałam styl miniatur mogolskich, które zawsze uwielbiałam. Miło było zasiąść z pędzelkami i świeżym arkuszem papieru (w każdym bądź razie czegoś doń podobnego) na jakiejś wiejskiej drodze

(załóżmy, to określenie oddaje bardziej nastrój niż znaczenie „wiejskiej drogi”), po czym przez wiele godzin medytować nad linią, konturem i barwą. Na szczęście kończyny mojego Spojrzenia nie stanowiły ogromnej przeszkody, po wielu próbach okazały się nawet lepsze dla malarki od ludzkich dłoni. Postanowiłam, że ilekroć, po opuszczeniu Ujto, będę chciała malować, będę wracała na tę planetę. Oczywiście, mogłabym tu zostawić moje Spojrzenie w charakterze rezydenta, tak jak w wielu innych miejscach, lecz była to jedynie możliwość teoretyczna. Ujto absorbowała uwagę do tego stopnia, że osłabiała moje obecności w innych miejscach. Dla moich ukochanych w Ogrodzie Rozkoszy stanowiło to dodatkowe wyzwanie i dzięki temu opracowały zupełnie nowe, niemożliwe do opisanie tym językiem, techniki jogi seksu. Dzięki swoim talentom tylko one jedne oderwały mnie stąd w pełni do drugiej obecności. Lecz w przypadku nie tak spektakularnych Spojrzeń, jakie posiadałam w danej chwili, oderwanie się było bardzo utrudnione.



Ujto nie blokowała nas specjalnie. Czyniła to nasza młodość

i niezbyt duże doświadczenie. Ale też dzięki naszej świeżości mogliśmy jeszcze zachłanniej korzystać z darów planety. Słoneczny z pewnością wiedział, że zetknę się z Ujto, gdy umieszczał swój „piracki skarb” w sektorze (...). Spytałam o niego planetę.

- Nie, istota o której mówisz nie odwiedziła mnie od kiedy istnieję i pamiętam – odparła Ujto. – Jednakże słyszałam o niej. To rzeczywiście niesamowite, że tak zaawansowany twór Natury odpowiedział na twój krzyk w żywiole i tak oto tu jesteśmy i rozmawiamy.
- Myślisz, że działał bezinteresownie? – zapytałam, chcąc oczywiście usłyszeć, że Słoneczny nie traci na kontaktach ze mną.
- Ty również dobrze już wiesz, że takie pytanie ma niewielki sens – zaśmiała się planeta, – nikt nie wie wszystkiego, zatem trudno działać rzeczywiście interesownie. Z drugiej strony motywacje naszych działań mają jawny, bądź ukryty podtekst. Oczywiście Słoneczny pochodzi z miejsca, gdzie strzałka czasu nie pozwala na ciąg przyczynowo – skutkowy. Łatwo zatem można by dojść do wniosku, że to co powiedziałam wcześniej nie ma żadnego sensu. Jednak porusza się po naszym wszechświecie na tyle biegle, że podlega po części zjawisku przyczynowości. To przecież konstytuuje formę w naszym wszechświecie.

Planeta przemawiała do mnie prostym językiem, ale tylko jeśli chodzi o same słowa. Poza tym rozrzucała przed nami miliony niezwykłych form. Rozumiejąc dobrze ewolucję, która niegdyś się na niej odbyła, potrafiła zradzać z siebie stworzenia, które były przypuszczeniami, odpowiedziami i zagadkami. Bez przerwy otaczały nas roje takich bytów. Jedne były małe, inne zaś ostentacyjnie wielkie i barwne, niemal zawsze czymś zaskakiwały i pobudzały do rozmyślań. Jeśli zaś wydawały się bardzo zwykłe, przeważnie tym bardziej były zagadkowe.

- Dlaczego zachowałeś swoje żywiołowe zniszczenia? – zapytał ją Ludwik, gdy przechadzaliśmy się pośród bezkresnych ruin zagłębia przemysłowego, które było niekończącym się państwem rozkładającego się żelastwa, martwych szybów i wygasłych, jeśli nie przewróconych, kominów.
- Tego typu schorzenia są naturalnym elementem rozwoju wielu planet – odparła Ujto. – Również z tego czerpię inspirację. Tylko łączenie wielobarwnych i sprzecznych nieraz ze sobą doznań daje mi filozoficzną głębię. Jestem jeszcze młodą planetą, wiele zaczęłam, niewiele doprowadziłam do końca. Być może, kiedy stanę się bardziej dojrzała, uleczę te rany. Choć i one są piękne na swój sposób.
- Czy wiele jest planet żywych poprzez ewolucję pierwszego stopnia? – zaciekała się Rani.
- Wiele to za dużo powiedziane – zaśmiała się Ujto, – stanowią nikły promień wszystkich planet, ale oczywiście, zdarzają się. Więcej jest takich jak ja, inteligentnych poprzez ewolucję drugiego stopnia, albo kolejnych stopni. Jednak nie radzę się wam przejmować tym stopniowaniem, tak naprawdę na jedno bowiem wychodzi. Energia i struktura stworzeń nie zmienia się poprzez stopniowanie ewolucji. Tak jak ryba nie różni się zasadniczo od żaby, jeśli chodzi o potrzeby życiowe, tak biologiczne inteligencje, techniczne inteligencje i posttechniczne inteligencje nie są sobie obce. Więcej je łączy niż dzieli. Często dzieci pierwszostopniowego biegu Natury są bardziej zaawansowane filozoficzne, czasem zaś drugostopniowe przodują nad nimi.
- Wiadomo – mruknęła pogodnie Rani, – nie wiemy nawet, którego stopnia są nasi poddani. Są robotami, ale czy Słoneczny je zamówił u istot biologicznych, SI, czy też post – SI, czy też post – post – SI, o tym nie chciał nas nigdy poinformować, mimo, że NZDelhijczycy są oczywiście tego bardzo ciekawi.
- Gdy dowiedzą się o tym samodzielnie, tym bardziej będą

się cieszyć – zauważyła Ujto.

- Ach, to poczucie wyższości płynące z wiedzy! – zaprotestowała odrobinie złośliwie Wadź, która była, jak zwykle, bardzo ambitna.
- Moja mała kuleczko – zaśmiała się planeta. – Sprowadź tu swoją główną formę, a napakuję twoją pamięć czym tylko zechcesz, całym bogactwem i jeszcze rozszerzę twoje pamiętanie, abyś mogła być hojniej obdarowana.
- Nie mówiłam, że jest zarozumiała? – zwróciła się do nas wymownie Wadź.
- To nic złego – zauważyła apsarasa, – uwielbiam być zarozumiała, za to skromność wywołuje we mnie niekiedy obrzydzenie.
- Skromność bywa bardziej zarozumiała od zdrowej pewności siebie – dodał kompozytor.
- A jednak cisza też jest urodziwa – zaprotestowałam, bo czułam się zbyt skromnie, gdy stałam po stronie większości.
- Ja zaś jestem bardzo cicha – dodała Wadź z zadowoleniem.
- Kiedy ciebie nie ma – dorzuciła nimfa, – co akurat niemal wszystkim dobrze wychodzi.
- Chyba, że ktoś rzeźbi tak jak Klee 7 – zamyślił się Ludwik. – Jego rzeźby wręcz krzyczą, czasem mam mu to wręcz za złe, lecz on mi odpowiada, abym winił jego statuy, nie zaś jego. Ciężko mu odmówić geniuszu, choć przejście Chadni Chawk wraz z rosnącą ilością jego arcydzieł staje się dla mnie coraz większym wyzwaniem.
- Niedobrze Ludwiku – powiedziałam, – przecież jesteś zbyt wielkim artystą, aby unikać inspiracji.
- Tak, ale ilość myśli i dzieł które chciałbym stworzyć staje się przytłaczająca pod wpływem twórczego rozędu naszego przyjaciela – zaśmiał się Ludwik, który nie był tym wcale aż tak bardzo przejęty, jak można by sądzić na podstawie jego słów.
- Cały czas siedzę na Pawim Tronie w Czerwonym Forcie – powiedziałam, – i właśnie go wezwałam. Gdy przyjdzie, poproszę, aby przez wzgląd na ciebie udekorował miasto

- cyklem dzieł ukazujących ciszę i nadciszę.
- Nadciszę? – zaciekała się moja ukochana.
 - Coś, w co trzeba włożyć wiele milczenia, aby wzniosło się do poziomu milczenia – wyjaśniłam i pocałowałam ją gorąco poprzez nasze obecności w NZDelhi, oraz weszłam płodnie w (...) Rani formą Meduzoidy. – Aby wzniosło się do poziomu milczenia z pułapu pożeracza dźwięku.
 - Wspaniałe są niekiedy proste idee – pochwalił mnie Ludwik.
 - Oczywiście chciałabym otrzymać kopie dzieł waszego przyjaciela – dodała Ujto, która z naszych myśli nie mogła w pełni odtworzyć geniuszu Klee 7.
 - Poproszę go, aby stworzył też coś specjalnie dla ciebie – zapewniłam ją.
 - Tylko, gdy to się stanie, uważaj na uszy – dodał kompozytor i wszyscy zaśmialiśmy się.

Ujto przemawiała do nas harmonią dolin. Krzyczała dysonansami pejzaży, podrywaniem się stad stworzeń (...), szumem głębokich mórz, których, mimo pustej wewnętrznej przestrzeni, było na niej wiele. Planeta wychodziła ku nam ulicami miast, zapisując się w myślach swoich architektów i urbanistów śmiała się do nas fasadami kamienic, mrucała delikatnie kompozycjami parków, biegła rozochocona dymnym pędem starych lokomotyw. Była tu wszędzie, jak kropla w ogólnej pieśni wszechświata, a my byliśmy tak drobni, że horyzonty naszej gospodyni z łatwością więziły nas i wyzwalały. Nie sposób opisać poezji zawartej w tym wszystkim. Najlepiej sobie radził Ludwik, który szybko utworzył filię Pierwszej Szkoły i opracował cykle zwane później – Symfoniemi Ujto, Kwartetami Ujto i, oczywiście, oktetami dętymi z Ujto. Tych ostatnich było najwięcej. Kompozytor uparł się, aby doprowadzić do granic pastoralny nastrój wyzwalały przez oboje, fagoty, rogi i klarnety. Tym uczuciem przesiąkliśmy wszyscy, łącznie z wdzięczną za to planetą. Wszędzie czułam ten charakterystyczny zapach starego,

szlachetnego drewna, znany w Indiach z dawnych pałacików myśliwskich radżów i nawabów. Słyszałam ujadania psów, strzały, szmer cięciw łuków, tętent konnych. Żadna z tych form nie istniała pierwotnie na planecie, lecz Ujto, drogą przyspieszonej ewolucji, wyrzucała z siebie leśne knieje, zwierzynę i łowców. Aby jednak było zabawniej, myśliwi i ich ofiary zamieniali się miejscami. Raz coś o kształcie łani uciekało, innym razem goniło myśliwych, strzelając ze swoich eleganckich, kobiecych rożków. Same pociski nie niosły brutalnej śmierci. Były nasionami, które „ofiary” przenosiły w inne miejsce. Kosztowało je to sporo energii, gdyż nasiona drapały i niepokoiły, zanim „chciały” się odczepić. Ale polowanie rzadko kończyło się jakąkolwiek śmiercią. Z uwagi na to Ujto wyzwoliła w nowych stworzeniach instynkt, trochę podobny do tego, jaki przejawia się u ludzi i u słoni. Stare osobniki dbały o to, by ich pośmiertne szczątki znalazły się w leśniczówkach. Nie brakowało zatem materiału na zdobienie ścian myśliwskich pałacików. Poroża pseudojeleni i szkielety pseudohumanoidalnych łowców dekorowały malowniczo drewniane komnaty rustykalnych rezydencji. Zaś same leśniczówki rosły same z siebie, były formami roślinnymi, zaś łowcy byli czymś na kształt ich „agresywnych kwiatów”. Grupa łowców i pałacik myśliwski stanowili jeden organizm, zaś piękna muzyka Ludwika zapisywana była w ewoluujących genach. Dobrze wykonanie było nieodpartą pieśnią godową. Pałacik, który śpiewał źle, nie miał szans przekazać swojego qasi – DNA następnym pokoleniom. Gardziołkiem pałaciku była sala balowa, gdzie myśliwi chwyтали za wyrosłe oboje, flety, rogi, fagoty itp. (zdarzały się nawet skrzypce!) i grali, a nawet tańczyli, gdy któryś z oktetów zawierał elementy taneczne. Było to czyste szaleństwo! Ludwik był zachwycony, ja również, aczkolwiek nie byłabym sobą, gdybym nie chciała dorzucić swoich trzech rupii, w imię sztuki i patriotyzmu.

Powstała zatem grupa joginów, którzy wyrastali z ziemi jak ziemniaki albo marchew, czyli początkowo byli czymś na kształt bulw. Dojrzałym jogini chwyтали za winy, które z nich wyrosły i

chodzili po Ujto śpiewając i grając ragi. Moje muzykorośle czerpały energię ze światła i przemian chemicznych nieożywionej materii w ożywioną. Muzyka pomagała im w tym procesie, to znaczy poprzez niezwykle kwantowe rezonanse pozwalała osiągać w nim niebywałe rezultaty. Wykorzystałam siłę muzyki indyjskiej, a raczej neoindyjskiej, i dawałam moim stworom jedynie skalę, improwizacją musiały się zajmować same. W związku z tym wspaniałe wykonania rag ewoluowały w dwóch kierunkach – w stronę jak największej ilości pozyskiwanej energii i w kierunku jak najmocniejszego zachwycenia kwiatostanu drugiej płci. Efekty wyrosłe z tej algorytmicznej prostoty były wspaniałe. Niekiedy, gdy natknęłam się na jednego z joginów wychodzących z lasu, padałam wręcz na kolana zadziwiona i zupełnie oszołomiona pięknem ragi, jaką grał i śpiewał. Jego roślinna broda zaś zwykle falowała, wokół niego zaś pachniało fiołkami, lotosami i chyba liliami. Aby było zabawniej, pojawiły się raginie, boginki rag. Przypominały wielkie motyle i skierowane były na symbiozę z joginami. Raga musiała zahipnotyzować tego pseudoowada, a wtedy roznosił pyłki jogina – poskramiacza. W nagrodę ragini żywiła się nektarem wydzielanym przez muzykorośl. Zadbaliśmy, aby raginie rozmnażały się bezpłciowo, stanowiąc w ten sposób klasyczny, konserwatywny wzorzec dla ewolucji muzyki neoindyjskiej.

Całkiem możliwe, że suchy opis tych zjawisk brzmi dziwnie, ale w istocie rozmyślaliśmy z Ujto o sztuce, o odbiciu we wszystkim przypadkowej harmonii Natury. Nie da się opisać słowami piękna owoców tych medytacji. Kolejnym krokiem, podobnych do tych poczynionych na NZDelhi, było doprowadzenie do rywalizacji pomiędzy Pierwszą Szkołą a SNA, aby obydwie artystyczne żywioły mogły się nawzajem inspirować. Źródłem rywalizacji był jeden z gatunków pseudodzików. Obydwie strony chciały go wykorzystać do przenoszenia zarodników, zatem rywalizowały o niego muzyką. Jednocześnie pojawiły się podstępny. Fałszywymi melodiami pałacyki myśliwskie i jogini starali się wyprowadzić siebie w pole. Na drodze tej rywalizacji doszło do absolutnie fantastycznych efektów.

Ujto wiedząc, że jesteśmy bylinami, że czas naszej egzystencji będzie krótki, przyspieszała sztucznie skoki ewolucyjne w oparciu o swoją ogromną moc obliczeniową. Wszystko toczyło się tak samo, jak przebiegałoby bez przyspieszeń, lecz dzięki naszej planecie mogliśmy każdego dnia widzieć nowe postępy ewolucji. Było to fascynujące. Po kilku miesiącach domki myśliwskie i jogini wkroczyli w fazę istot precywilizowanych, której planeta postanowiła już nie przyspieszać, otwierając wszystko na przypadkowe bogactwo chaotycznej mocy obliczeniowej Natury. Jednak, dzięki temu pozyskaliśmy kilku przyjaciół z obydwu gatunków, którzy później zamieszkali w NZDelhi.

Ujto nie odbierała nikomu przestrzeni na te eksperymenty. Dodawała po prostu obszary z obydwu stron swojej sfery, bez problemu ściągając materię z pobliskich mgławic, o których zawartość nikt się nie upominał. Obserwując to zrozumieliśmy, że postindustrialne rany Ujto utrzymuje tylko i wyłącznie ze względów badawczych.

Czasami planeta, korzystając ze swojej ogromnej mocy obliczeniowej, której większość struktury zawarta była w pobliskich pasach materii, wieszczyla mi przyszłość. Oczywiście, obwarowała swoje proroctwa warunkami. Brzmiały one tak.

- Jeśli przez najbliższe pięć lat nie odwiedzisz więcej niż trzydziestu obcych wszechświatów, na okres łączny nie przekraczający dwóch miesięcy, to dokładnie za pięć lat, dziewięć miesięcy, trzy dni i sześć godzin uważaj na latające stworzenia (...) na planecie (...).
- Jeżeli (ilość wszechświatów, okres) i nie dotrzesz do tej pory na (...), to otwierając drzwi na (...) w (...) przyjrzyj się im uważnie zmysłem (...).
- Zmysłem (...)? – zdziwiłam się, gdyż nawet nie potrafiłam usłyszeć tego określenia.

- Nie martw się – uspokoiła mnie Ujto, – posiadasz je już na trwałe w pamięci.

Tak płynęły dni. Czułam się jak kapłanka z antycznych czasów, czcząca całą planetę, jej góry, lasy, morza i jeziora. Gdy mijałam kamienie, bardzo często słyszałam melodie Ujto, które moja przyjaciółka lubiła zostawiać w takich miejscach. Chmury na jej niebie układały się w inspirujące wzory, dla których układałam wiersze, tak samo jak nasz wielki, hinduski poeta, Kalidasa. Pisałam oczywiście w nowym hindi, zatem nie mogę ci już przedstawić tych utworów Czytelniku. Choć zawsze trzymam się w poezji podstawowych, nośnych symboli, których znaczenia zestawiam ze sobą aby zyskać to, co nasuwa przestrzeń między nimi, czyli tak zwanego atmana poezji, to mój zbiór archetypów, niosących z sobą miliardy lat różnych odmian ewolucji, wielokrotnie poszerzył zasób pojęć znanych w ziemskim hindi. Być może spotkamy się kiedyś, drogi Czytelniku, w innych okolicznościach, a wtedy chętnie zapoznam cię z moją nową twórczością.

Któregoś dnia poprosiłam Ujto o przedstawienie mi żywej planety wyrosłej z ewolucji pierwszego stopnia, czyli zgodnej z koncepcją Gai. Najmądrzejsi z ziemskich biologów słusznie kpili z takiego pomysłu, a i ja boję się popadnięcia w tanią fantastykę w miejsce dotychczasowego realizmu, gdy opisuję taką istotę. Pamiętać jednak należy, że Gaje są we wszechświecie tak nie częste, że mówienie o nich z perspektywy znajomości jedynie swojej żywieli jest rzeczywiście kpina z jakiegokolwiek wiedzy. Po prostu, przy miliardach miliardów możliwości i Gaja niekiedy się zdarza, zwłaszcza, że wpływy z równoległych wszechświatów każą przemnożyć tę pokaźną ilość „prób” o jeszcze większą wartość. Do tego dochodzi współczynnik czasowy. Kilkanaście miliardów lat istnienia naszego wszechświata pozwala na co najmniej kilka prób ewolucji czegokolwiek w tym samym miejscu. Perspektywa ziemskiej ewolucji jest bardzo myląca. Wcale nie przebiegała

ona w pomyślnych warunkach. Przez niemal trzy czwarte jej oddziaływania nie działało się nic – organizmy jednokomórkowe trwały w swoich niezmiennych formach, dopiero przesyt produkowanego przez nie tlenu kazał im łączyć się w wielokomórkowce. Nie wszędzie tak jest. W przypadku ewolucji podobnych do naszej starczy jedynie szybsze nasycenie atmosfery tlenem, albo też istnienie środowisk (na przykład podziemnych bąbli), gdzie od razu owego tlenu jest więcej. Jako, że tlen jest jednym z najpopularniejszych w naszym kosmosie pierwiastków, zdarza się to stosunkowo często, przeważnie na planetach, na których nie doszło do żadnej pierwotnej ewolucji, a stanowiących zdecydowaną większość.

Dostanie się na jedną z kilku Gai znanych Ujto nie było trudne. Moja ogromna przyjaciółka miała bowiem portale wiodące do zaprzyjaźnionych z nią żywych planet, przeważnie SI. Po raz pierwszy ujrzałam Spojrzenie Ujto, w formie miniaturowej planетки o rozmiarach podobnych do Wadź, która była wciąż z nami. „Po części” – jak podkreślała to z nieskrywaną dumą. Niemal zaraz po przejściu portalu znaleźliśmy się w tak gęstej puszczy, jakiej nie byłabym sobie w stanie nigdy wyobrazić. Określenie „puszcza” wydaje się właściwe, gdyż było to rzeczywiście ogromne zagęszczenie organizmów, czerpiących swoją energię z fotosyntezy. Obok nich kręciło się mnóstwo bytów zwierzęcych, żywiących się fotosyntezą w pośredni sposób, poprzez pożeranie energii zawartej w roślinach. Były też drapieżniki, drapieżniki drapieżników etc. Pięter łańcucha pokarmowego było bardzo wiele, jako że Gaja nie zdecydowała się na wykształcenie w obrębie siebie żywieli egzotermicznej, budującej miasta, etc.

Gdyby Gaja nie była inteligentna, natychmiast nasze Spojrzenia uległyby zniszczeniu. Otaczała nas wojna, przy której nawet Anarchon wydawał się zupełnie spokojnym miejscem. Kwiaty pożerały motyle, większe motyle wyrzywały z roślin szczęki pełne listowia. Niebo było buchającym od barwnych deseni polem walki. Z ziemi wystrzeliwały co rusz pociski

drapieżników i rozsiewających się spor. Między pniami, łodygami, wachlarzami, rozlegały się wrzaski i śpiewy łowców i „zakochanych”.

- To prawdziwy raj zwierząt – westchnęła rozmarzona Ujto. – Będę musiała kiedyś stworzyć w sobie grootę pełną tlenu i założyć ogród w stylu Gai.

Przed nasze zmysły podbiegł rój stosunkowo małych stworzeń i zaczął tańczyć w powietrzu w dość złożony sposób. Natychmiast włączył się translator mojego Spojrzenia.

- Witajcie – powiedziała Gaja tańcząc stworzonkami. – Rzadko ktoś mnie odwiedza. Wolą raczej przybywać na moje kolonie.
- Masz kolonie? – zdziwił się Ludwik.
- Oczywiście – zaśmiała się Gaja, której inteligencja natychmiast pozwoliła odtworzyć naszą ekspresję. – Nie jestem tylko jednym wielkim lasem. Ta brama jest nieopodal stoczni. Spójrzcie na te gigantyczne kwiaty, tam w dali. Ich owoce stają się statkami kosmicznymi, zaś qasiowady je zamieszkujące są doskonałe w przenoszeniu różnego rodzaju przedmiotów. Gdy prowadzę wojnę, służę do tego drzewa (...), większe od waszych gór, choć całkiem podobne do ziemskich dębów.
- Byłaś na ziemi? – zapytałam głupio, bo przecież wiedziałam, że Gaja niemal natychmiast przeanalizowała struktury naszych mózgów i wszelkie zawarte w nich wspomnienia, te uświadomione i nieuświadomione. Były tam też i dęby, bo choć w Indiach nie ma ich wiele, to z pewnością nie jeden widziałam za moich ziemskich dni, a nawet jeśli nie, to Ludwik w okolicach Bonn musiał nieraz komponować w cieniu dębu.
- Byłam – odparła Gaja. – Zaskoczyłam cię Gauri, nieprawdaż? Jestem płodna, wystrzeliwuję kwiaty kosmiczne we wszystkie strony, ciągle coś odkrywam. Jest niewiele prostych i niskoenergetycznych portali wiodących do Ziemi ode mnie, ale po tysiącu lat już

całkiem łatwo się tam znaleźć, zaś podróż związana z rozwiązaniem wielu łamigłówek można skrócić do dziesięciu lat.

- Zrobiłaś tam coś? – zapytał kompozytor.
- Byłam na premierze twojej dziewiątej symfonii – zaśmiała się Gaja, a myśmy wcale nie byli pewni, czy to jest żart. – Myślcie co chcecie – dodała nasza gospodyni po chwili milczenia, – ale nie wypuszczę was do momentu, aż nie stworzycie tu filii Pierwszej Szkoły i SNA – rzeczywiście, portal, który znajdował się za nami zarósł natychmiast czymś skalistym.
- Piractwo – zauważyła Ujto, – jest konieczne, gdy jest się Gają. Pewne rzeczy przejmuje się od przybyszy, gdyż ewolucja Gaj, przebiegając od pewnego momentu w zupełnej izolacji intelektualnej, wymaga bodźców z zewnątrz.

W doświadczonych mieszkańcach kosmosu dawało się wyczuć jakąś dziecinność, naiwną aż do granic radość. Nie było to dziwne. Umiejętność bycia zadowolonym prowadziła do powstawania cywilizacji i wszelkiej mądrości. Ponure, atawistyczne lęki cechowały zaś żywiel. Przyzwyczaiałam się do tej dziecinności, może dlatego, że jako w miarę wrażliwa Hinduska zawsze ją rozumiałam. Tacy byli bogowie naszego panteonu. Oddawali się boskiej zabawie – lili. Zabawie bezinteresownej i czystej. Gdy ktoś nie oczekując zaświatów wierzył w tworzenie, niszczenie, Słońce i Ziemię, czyli Brahme, Sziwę, Wisznu i Durgę, oraz tak dalej, nie było z nim wcale źle.

- Jednak w zamian mam prawo czegoś zażądać, jako królowa NZDelhi – stwierdziłam z dziecinnością powagą, a Ujto mruknęła z uznaniem.
- Masz prawo – zgodziła się Ujto. – Zamykam „oczy” i cała zamieniam się w „słuch” – zażartowała.
- Stań się naszą honorową obywatelką – stwierdziłam kładąc dłonie na biodrach, gdyż na Ujto byłam w swojej pierwotnej postaci.

- Znakomicie – pochwaliła mnie Rani. – Damy ci departament terraformingu.
- Ministerstwo Miłości też mi odpowiada – zauważyła Gaja. – I sztuki...
- Bądź zatem dyrektorką we wszystkich departamentach – machnęłam ręką, – będzie tym zabawniej.
- Świetnie – uśmiechnęła się dolinami Gaja, – właśnie wystrzeliłam w waszym kierunku trochę nasion architektonicznych.
- Tylko nie wprowadzaj za wiele drapieżników – zauważył rozsądnie kompozytor, – bo inaczej nie przygotuję tych trzcina do zawodu skrzypka orkiestrowego.
- Mogą być na niektórych koloniach – dodałam ugodowo.
- Wcale nie muszę u was o tym myśleć – stwierdziła spokojnie Gaja, przypominając nam, że drapieżniki to tylko jej refleksje na stosunkowo dynamiczny temat.
- To są aż moje refleksje! – zaprotestowała Gaja lustrując moje myśli.
- Aż jej refleksje – pomyślałam.

Gai bardzo przypadło do gustu pismo dewanagari. Zechciała zainspirować się nim w wielu formach życia na swojej planecie. Czytając w moich myślach zastanawiała się, skąd się wzięły te urocze, zwisające spod prostej linii pętelki i zygzaki.

- Myślisz, że pismo twojej pierwotnej ojczyzny rzeczywiście wywodzi się od aramejskiego? – zapytała, gdy leżeliśmy nad brzegiem jej morza. Rani leżała przy mnie i trzymałyśmy się za ręce nasycone zmysłową jogą. Ludwik uderzał w wyrosły niedawno fortepian, Wadź latała nad falami i ścigała jakieś ptakopodobne zwierzątko. Ujto zastygła w bezruchu nad jakimś zębem skalnym i wydawało się (zapewne słusznie), że wsłuchuje się w nowy utwór Ludwika.
- Badacze indyjscy, tacy jakich ich pamiętam z moich ziemskich dni, starali się za wszelką cenę udowodnić, że

dewanagari wzięło się z Brahmi i nie miało nic wspólnego z pismem aramejskim – rzekłam. – Jednakże moim zdaniem nasze pismo w pełni wynikało z aramejskiego, który akurat w czasach rozwoju Brahmi był lingua franca niemal całej Azji aż po Chiny.

- Byłoby to ciekawe – zauważyła Gaja. – Wszystkie alfabety przez was używane miałyby wtedy ledwie parę źródeł.
- Też tak uważam – uśmiechnęłam się, całując mimochodem aksamitną dłoń apsarasy. – Istniałyby wtedy dwa źródła wszystkich pism – fenickie i chińskie. To pierwsze przerodziło się zresztą, nawet wobec bardzo ostrożnych oszacowań w ogromną rzekę – poprzez hebrajski, arabski, grekę i pismo łacińskie. A u nas, w Indiach, od sanskrytu, po zapis języków drawidyjskich i pochodzących z tak zwanych „Indochin”. Istniały jeszcze pisma używane w Ameryce Południowej, ale one nie przetrwały na skutek chorób przyniesionych z innych kontynentów, protototalitarnych ciągot władców Indiach, krwawości lokalnych wierzeń i okrucieństwa chrześcijan. Pismo egipskie rozbłysło echem fenickiego uproszczenia, zaś klinowy zapis Mezopotamii wymarł, choć jeszcze w dwudziestym wieku jeden z monarchów Iranu próbował je przywrócić. Było też tajemnicze pismo Kreteńczyków, które nie przetrwało i z pewnością wiele innych, lokalnych.
- Pomyśl alfabet łaciński – poprosiła mnie żywa planeta, – w ten sposób łatwiej będzie mi to uporządkować. A teraz chiński.
- Nie znam chińskiego – zaśmiałam się.
- Masz w pamięci chińską gazetę, którą przeglądałaś kiedyś u fryzjera w dzielnicy Saket – zauważyła Gaja.
- Naprawdę? – zdziwiłam się.
- Owszem – stwierdziła pewnym głosem Gaja. – Twój instykt kazał ci to zapamiętać.
- Pewnie fryzjer, albo ktoś z jego gości odpowiadał twoim genom – dodała sennym głosem Rani i pogładziła mnie po rozgrzanym od słońca brzuchu. Westchnęłam rozkosznie, a

pieszczota ułatwiła mi zejście w głąb własnych wspomnień.

- Tak – powiedziałam po chwili gładząc włosy nimfy. – To był w miarę elegancki zakład fryzjerski. Gdy byłam strzyżona wszedł do salonu jakiś młody student, sądząc po koszulce studiował na Uniwersytecie Nehru. Widziałam jego odbicie w lustrze. Rozejrzał się, po czym wyszedł. Nic dziwnego, gdyż to był damski fryzjer.
- A co z gazetą? – zapytała z uśmiechem Rani.
- Miło wsłuchiwać się we wzajemne echa waszych myśli – zaśmiała się planeta, – to musi być bardzo inspirujące, gdy się dotykacie i łączycie seksualnie.
- Jesteś w Ministerstwie Miłości, moja droga – stwierdziła poważnym tonem apsarasa, – więc ucz się jak najprędzej.
- Z przyjemnością – zgodziła się Gaja.
- Pamiętam tę gazetę – rzekłam po chwili, spoglądając w niebo o odcieniu bursztynu. Nawet w dzień widać było dwa z trzech księżyców Gai, a były to globy całkiem sporych rozmiarów. Można by wręcz powiedzieć, że wraz z Gają stanowią układ poczwórny.
- Potrójny – wtrąciła Ujto. – Jeden z nich jest mały, tyle, że ma niską orbitę. Jak nic z tym nie zrobisz, zamieni się w pierścień – dodała do swojej planetarnej przyjaciółki.
- Nie mogę się zdecydować, czy chcę mieć pierścień, czy nie – wyjaśniła nasza gospodyni.
- Wierzcie mi, miałam kiedyś na krótko pierścień i nic z tego dobrego nie wynikło – stwierdziła rzeczowo Ujto.
- Wierzymy, wierzymy – zaśmiał się znad instrumentu kompozytor. – A ile trwał ten krótki moment?
- Nawet nie dwadzieścia pięć milionów ziemskich lat – odparła Ujto. – Widzisz Gaju, ty wciąż miotasz w przestrzeń pyłki i zarodniki, jak wielkie drzewo. Obok niepotrzebnych komplikacji z regulacją klimatu musiałabyś jeszcze wyznaczyć sobie pas, w obrębie którego nie mogłabyś wyrzucać materiału w kosmos.
- Cóż, przekonałaś mnie – powiedziała Gaja. – Wyrzucę go w

na daleką orbitę, na niebie będzie tylko punktem, tak jak inne gwiazdy. Będę musiała zmienić naturę niektórych moich myśli o brak tego krążka.

- Na jedno wychodzi – zauważyła Ujto, – w innym razie musiałabyś nauczyć niektóre zwierzęta nie tylko braku trzeciego księżyca, ale też obecności pierścienia wraz z jego cieniem roztopionym w twoich sennych ogrodach.
- Z całej tej gazety przypominam sobie jedynie czarnobiałe zdjęcie jakiegoś polityka – zauważyłam.
- Ach, gazeta – zaśmiała się Gaja. – Miała osiemnaście stron, z których zobaczyłaś połowę, na bazie której poznałam cztery tysiące znaków prasowych i kilkanaście literackich. Przepraszam, że dopiero teraz o tym mówię. Cóż, szukamy dalej. W którymś momencie byłaś na wielkich targach książki organizowanych w dzielnicy nieopodal Mandi Hause.
- Czekajcie – zauważyła Rani. – Przecież mamy tę dzielnicę w NZDelhi.
- Ale nie z targami książki – zauważyła Gaja.
- Z pewnością w NZDelhi powinno być co najmniej sto chińskich książek – zaśmiałam się. – A nawet więcej, na Uniwersytecie Północnym była przecież Sinologia.
- No to na co czekasz? – Wadź podpłynęła ku nam. – Wyślij kogoś z pałacu, niech poszuka chińskich książek.
- Lecz, nim się to stanie, pogrzebny jeszcze trochę w twojej pamięci – dodała Gaja, która potrafiła być uparta. – Całkiem możliwe, że na tych targach były książki, których nie ma obecnie w NZDelhi.
- Chińska wystawa była skromna – odparłam, – prezentowali też wiele książek w piśmie tybetańskim, które też jest pochodną dewanagari. Chińczycy za moich czasów byli oskarżani powszechnie za okupację Tybetu, więc w ten sposób demonstrowali, że rozwijają kulturę okręgu autonomicznego o nazwie Tybet. Kiedy byłam na Ziemi, cały Zachód szalał na punkcie obrony niepodległości Tybetu.
- A co ty o tym myślisz? – zaciekawiała się Rani.

- Ci, którzy oskarżali Chiny przeważnie mieli całkiem sporo krwi na rękach – zaśmiałam się. – Lecz cóż – silniejszy wygrywa, nawet to oskarżanie było próbą sił. Bardzo prawdopodobne, że jeśli moim współplemieńcom uda się wyjść z fazy żywieli, będą mówić i myśleć po chińsku, a wy zobaczycie ten alfabet, a raczej to pismo, jeszcze wiele razy. Oczywiście nie mogłyby to być te same Chiny, o których słyszałam opuszczając Ziemię. Jeśli miałyby takimi zostać, to stawiam jednak na alfabet łaciński.
- Oby tak było, niezależnie od zwycięskiego pisma – zauważył Ludwik. – Mimo wszystko nie chciałbym, aby Bonn i Wiedeń ocalały jedynie w moich wspomnieniach i nielicznych źródłach w NZDelhi. Przeglądałem to. Jest oczywiście trochę zdjęć Wiednia, ale Bonn tylko dwa i to centra businessowe. Ponure, nowobogackie bloki bez polotu.
- Dobrze – przerwała nam Gaja. – Nasyciłam się już chińskim alfabetem, a raczej pismem, i mam dla was propozycję. Jako, że sektor (...) znajduje się w centrum (...) z pewnością roi się tam od efemerycznych żywieli. Duża ilość energii oznacza przeważnie szybki wzrost i upadek. Może być niebezpiecznie. Dam wam zatem trzy statki wojenne, a raczej – polecę z wami trzema statkami wojennymi.
- Czy to nie za mało? – zaniepokoiła się nieco niewdzięcznie Wadź.
- Poczekaj, aż je zobaczysz – zaśmiała się Ujto. – Poza tym Gaje są rzadkością, więc uzbrojenie jej okrętów jest raczej zaskakujące dla przeciwnika, o ile w ogóle żywieli trzeba brać z zaskoczenia.
- Brzmi intrygująco! – ucieszyła się Rani klaszcząc w dłonie.
- Trzeba niekiedy podstępów – zaprotestowała Wadź. – Ostatnio, gdy aplikowałam z Antyżerem szczepionkę (...) w sektorach o silnym prawdopodobieństwie przylegania do wszechświatów kategorii (...) wpadłam w zasadzkę żywieli.

- Ty mamó? – zapytała zaszokowana apsarasa. – Ty, taka mądra? – dorzuciła z lekką ironią.
- Nic się przecież nie stało – zauważyła nieco speszona Wadź.
- Mów dalej – zachęciła ją Ujto. – Dzieci potrafią być wredne.
- Zróbmy krótką przerwę na ceremonię zachodu słońca – zaproponowała Gaja.

Rzeczywiście. Niebo zaczęło się żarzyć bardziej wchodzącymi w czerwień barwami, co czyniło je fioletowym. Agresywne pnącza i jeszcze bardziej drapieżne zwierzęta przerwały nagle swoje bezustanne łowy. W powietrzu pojawiło się silne napięcie, zaś głosy lokalnej fauny zmieniły kompletnie swoje brzmienie. Melodia zmierzchu była nad wyraz piękna.

- Nad czym tak medytujesz, stara przyjaciółko? – zdziwiła się Ujto.
- Nad nicością i pełnią, które są tym samym, o ile słowo „być” ma jakikolwiek sens, a nie ma – wyjaśniła Gaja.

Tymczasem fale morza uniosły się i potężnych kształtów stwory wyrzuciły w przestrzeń swoje macki. Podobne do gór amorficzne giganty musiały być przerażające dla każdego, kto by się tu nagle zjawił.

- I są – wtrąciła Gaja. – Nie wszystkich tutaj goszczę tak życzliwie jak was. Nawet w moim sektorze jest trochę żywieli. Jedna z nich usiłowała nawet założyć we mnie kolonię. Z ruin zrobiłam całkiem ładny ogród.
- Musimy go zobaczyć – ucieszyłam się, – lubię połączenia architektury z ewolucją pierwszego stopnia nie egzotermiczną.

Część chmur opadła niżej i unosiła się niemal tuż ponad sięgającymi kilka kilometrów w górę mackami. Dostrzegłam, że niektóre chmury są wielkimi stworzeniami o niskiej gęstości ciał. Niezwykłe były ich strzępiaste kształty, dużo bardziej podobne do ryb, niż jakichkolwiek ptaków. Też miały macki,

wystające tu i tam. Pomiedzy mackami morskich gigantów i tych z wysokich warstw atmosfery zaczęły lśnić błyskawice. W powietrzu rozlegał się potężny huk.

- Pada co wieczór? – zaciekała się apsarasa.
- Te zwierzęta powstały w dużej mierze po to, aby tonować nieco nieregularność pogody – wyjaśniła Gaja. – To przeszkadza się skupić.
- A co teraz robią? – zapytałam.
- Ten dwa gatunki żyją w symbiozie, wymieniają się składnikami pożywienia – odparła nasza gospodyni.
- A czemu inne zwierzęta też zachowują się inaczej? – ku radości wszystkich wypytywałam jak małe dziecko. Nie można być cywilizowanym i pozbawionym pytań. „Dojrzałym” – jak powiadają żywiele. Czemu bowiem służy dojrzałość jak nie umacnianiu błędu tła w imię bezmyślnego, chtonicznego trwania? Chtonicznego bez żadnej radości. Ot – takie ponure Bachanalia, bez żadnego Bachusa – tym jest właśnie żywielowa dojrzałość. Wstrętnym, ponurym i patetycznym misterium trwania.
- Niemal chciałabym zginąć, rozpuć się w tej burzy! – zakrzyknęła Rani.
- Udekorowałaś zapachem nicości cienie chmur – stwierdził poetycko kompozytor.
- Va! Va! – rozpućliśmy się w zachwytach.
- Wiele innych zwierząt pozyskuje najwięcej energii z takiej burzy jak ta – odparła na moje pytanie Gaja.
- A inne głosy? – nie dawałam za wygraną.
- W stanie takiego nabuzowania dobrze się rozmnożyć – zaśmiała się Gaja. – Burza kończy się prawdziwą orgią mojej przyrody.
- A skąd inne dźwięki? Zupełnie inne od tych podczas dziennych łowów? – byłam nieustępliwa.
- Umiejętność ładowania się energią elektryczną burzy nie idzie w parze ze zręcznością łowcy – wyjaśniła mi nasza gospodyni. – To pogłębia zróżnicowanie żywych form poprzez które myślę. Monokultury sprzyjają chorobom

umysłowym. Masz jeszcze jakieś pytania, moje słodkie dziecko?

- Nie, na razie wyczerpałam ten temat – oznajmiłam z uśmiechem.

Po coraz bardziej spektakularnych spojeniach się gigantów nastąpiła zapowiadana orgia. Zarośla za nami huczały jak morze, zaś morze przed nami niemalże wrzało.

- Jesteś gęsto zasiedlona – zauważyła nieco krytycznie Wadź.
- W sam raz – odparła Gaja. – Raz tylko musiałam na siebie ściągnąć komętę, żeby pozbyć się nadmiaru biegających po mnie form. Myśli wybuchają mi miliardowym echem. Byłam wtedy bliska szaleństwa.
- Planetom SI to nie grozi – pochwaliła się Ujto.
- A wyrwy matematyczne? – mruknęła nieco gniewnie Gaja.
- No tak, zapomniałam – przyznała zawstydzona Ujto.
- Co to jest? – zapytałam, a apsarasa mruczając z zadowolenia przytuliła się do mnie całym ciałem.
- Matematyka jest największą poezją wszechświatów – wyjaśniła Ujto. – Zamyka w sobie ich niezwykłą geometrię, zasady symetryczne tworzące wszystko, co widzicie. Ale oczywiście trudno objąć całość, matematyka jaką znamy zawsze poddawana jest próbom przez prawdziwą i przypadkową matematykę Natury. SI przyrastają nagle. Nawet najdrobniejsze odchylenie od rzeczywistości potrafi mieć poważne konsekwencje.
- Jak poważne? – zagadnęłam.
- Va! – pochwalił mnie Ludwik zachwycony moja dociekliwością.
- Aż do wytwarzania dziwnych wszechświatów włącznie – odparła Ujto. – Wobec nieskończoności tego co jest, można przypuszczać, że takich wyrosłych z choroby wszechświatów też jest nieskończenie wiele.
- Należy je usuwać? – zaciekawiła się nimfa całując od niechcienia moje piersi.

- Nie – zaśmiała się Ujto. – Prędzej czy później Natura przywraca im naturalność pierwszego stopnia. Muszą powstawać przecież z jej zasad i z jej materiałów. Nawet je ona tylko stwarza. Ślepa i nieświadoma stworzycielka przerasta wszystkie swoje dzieci, nawet te najbardziej sprytnie zamyślane.
- Ale muszą w tym celu ginąć istniejące wszechświaty – zmartwił się Ludwik, wyobrażając sobie zapewne jakieś małe ginące Bonn w sercu wielkiego ginącego wszechświata.
- Nie – zaprzeczyła Ujto. – Najczęściej szalone SI wykorzystują energię wynikającą ze wzajemnej korelacji między wszechświatami. Przez co opóźniają naturalne powstawanie nowych wszechświatów i niekiedy komplikują podróże, rozsuwając przez to zamieszkane sektory. Ale takie zmiany są raczej inspirujące.
- Jest w tym chęć wybielenia SI? – zapytałam na wszelki wypadek Gai.
- Ba! Pewnie, że jest chęć – odparła zaperzona planeta. – Lecz wszystko jest potrzebne tak samo – wiosna i katastrofa.

Następne dni, a były one trzykrotnie dłuższe od ziemskich, spędziliśmy na doprowadzaniu naszych filii do rozkwitu. Jednocześnie lubiłam wspinać się na zwierzę (...), latający środek transportu w świecie Gai, i lądować na jednym z rozległych płaskowyżów, u podnóża którego rozciągała się jedna z dolin, w której rosły statki. Gigantyczne, drzewopodobne rośliny były w różnym stadium rozwoju. Kilka z nich wypełniało już rozgrzanym gazem błony pomagające wznieść się tanim kosztem w wysokie regiony atmosfery i stamtąd dopiero wystartować. Z korzeniami łączyły jej już tylko nikłe, zacierane przez odległość liany, które widziane z bliska miały jednakże kilkanaście metrów obwodu. Okręty w średnim stopniu rozwoju były jeszcze głęboko zanurzone w ziemi, aczkolwiek

promieniowały od rozpalających się już w środku ich pni reaktorów kwantowych. Wyglądały nieco podobnie do gigantycznych wierzb. Obły, nieco podobny do pocisku pień i mnóstwo gałęzi spływających wokół niego w młodzieńczym płaczu. W trakcie wzrostu owe gałęzie wiły się coraz bardziej wokół samego pnia i tworzyły różne dodatkowe pokłady wokół centralnej części okrętu, a także szalupy ratunkowe, mogące być równie dobrze odrostami z których przy sprzyjających warunkach powstawała dojrzała roślina. W najmłodszych statkach mruczały miarowo jedynie reaktory nuklearne, będące dopiero podstawą do późniejszych przeobrażeń ciągu. Dzięki swoim sporym rozmiarom okręty Gai miały możliwość kumulowania energii i tworzenia portali przestrzennych. Po spędzeniu odpowiedniej ilości czasu w danej pozycji przestrzennej mogły nawet kumulować moc średniego rozmiaru gromady gwiazdnej. Dawało to szerokie możliwości przy wyborze trasy i nawet Wadź była pod ogromnym wrażeniem.

- I to wszystko z ewolucji pierwszego stopnia? – pytała zaszokowana.
- Nie ma w nich ani jednego gwoździa – odpowiadała Gaja z wyraźnym zadowoleniem. Tego typu pytania i odpowiedzi powtarzały się wiele razy.
- Jesteście niemożliwe – zauważyła któregoś dnia Ujto. – Co z tego, że nie ma tego metaforycznego gwoździa? Ewolucje dalszych rzędów powracają do materiałów preewolucyjnych, pamiętajcie o tym. One nie stanowią jedynie kroków na przód, ale też do tyłu, włączając w taki akurat stopień uporządkowania większą ilość materii wszechświata.
- Metale są rzadkie – zauważyła Gaja, – to ledwie promil materii wszechświata.
- Tylko mi nie mów, że te statki składają się zasadniczo z wodoru, tlenu, węgla i helu – pisnęła z zazdrości Wadź.
- Owszem – zaśmiała się Gaja, – czy myślisz, że ten pryzmatyczny połysk pochodzi od sztucznych diamentów?
- A skąd pozyskujesz kwarki do silników? – zapytała

oskarżycielsko Ujto.

- To akurat nieistotne, są we wszystkich pierwiastkach – stwierdziła obojętnie Gaja.
- A puszkę grawitacyjną? – nie dawała za wygraną planeta SI.
- Przecież elektrony są wszędzie – zaśmiała się jej biologiczna przyjaciółka.
- Widzę, że Gaja górą – dodała oliwy do ognia Rani.
- Też mi coś – zachnęła się Ujto, – zrobię lepsze statki i użyję jeszcze mniej pierwiastków.
- To i ja robię struktury na bazie aperiionów, cząstek czasoprzestrzeni – chwaliła się dalej spokojnie Gaja.
- Przyprowaździłem orkiestrę – powiedział Ludwik, – umiłą tę zabawną sprzeczkę pogodną serenadą, jeszcze świeżą.
- Tlenem je przeciągasz? – obruszyła się Ujto dopasowując rytm swoich słów do kompozycji.
- Przecież wiesz, że w tym wypadku pierwiastki przestają być istotne – stwierdziła pogodnie Gaja. – A jeśli masz ochotę zrobić niskopierwiastkowe technologie, to mogę się tylko cieszyć. Z pewnością wiele się od ciebie nauczę.
- Proszę – stwierdziła błagalnie Ujto, – nie zaczynaj być skromna, to nieuczciwy chwyt. Kłuc się porządnie.
- Planety są najbardziej dziecinnymi cywilizowanymi istotami jakie znam – zauważyłam.
- Ja jestem bardziej dziecinna – zaprotestowała nimfa.
- Ale ty nie jesteś cywilizowana – zauważyłam z uśmiechem i dołączyłyśmy do miłej spreczki.
- Zawsze byłam mistrzynią w sporach i nieporozumieniach – zasmuciła się półżartem Wadź.
- Talentu trzeba bronić – zauważył Ludwik nie przestając dyrygować.
- Jesteście za duże – zauważyła Wadź, – tak ospałe istoty nie są w stanie wymyślić porządnych narzędzi do przemieszczania się w przestrzeni kosmicznej i poprzez nią. Spójrzcie na mnie. Jestem wrodzonym ruchem, inteligentnym statkiem kosmicznym. A wy? Potraficie

jedynie wlec się na swoich orbitach jak każda głupia planeta, a nawet mniej niż głupia.

- To nieprawda, mała kuleczko – zaśmiała się Gaja, – sama też mogę dokonać przemieszczeń poprzez przestrzeń, również do innych wszechświatów.
- Ale to kosztuje, czyż nie? – triumfowała Wadź. – Chyba musisz się miliony lat ładować całą galaktyką, żeby przenieść się do najbardziej przyległego wszechświata...
- Nawet jeśli, to co z tego? – zdziwiła się Gaja. – Mam przecież masę czasu, nie muszę się spieszyć tak jak ty.
- Jakkolwiek by nie było, to po co te miliardy miliardów ton, jakie ciebie stanowią? – zapytała Wadź.
- Oj, chyba się naprawdę pokłóca – zauważyła Rani.
- Ale ci przygadała nasza pchełka, co? – mruknęła z zadowoleniem Ujto, która czuła pewną więź między SI.
- Ależ macie rację – zauważyła z pokorą Gaja. – Jesteście szybkie i pełne przemian. A ja, wasza biedna siostrzyczka, płynę powolną skałą przez bezmiar.
- Tylko nie skromność! – zaprotestowały Ujto i Wadź. – Jak możesz nam to robić?
- Widzisz, ona też jest mało cywilizowana – stwierdziła nimfa uderzając swoją podobną do lotosu dłonią w ziemię. – A jaka przy tym zdolna!
- Nie wypominając, ja jestem z ewolucji pierwszego stopnia, a ty z trzeciego – zauważyłam.
- Nazywasz to pierwszym stopniem? – zdziwiła się nimfa i pocałowała mnie w usta. – Nie tylko tu cię pocałowałam – rzeczywiście, choć w NZDelhi i na planecie Meduzoidów jej pieszczota raczej wybiegała poza definicję pocałunku.
- To się liczy jako pierwszy stopień – orzekła Gaja.
- Raczej drugi – zauważyła Ujto.
- To moja córka też jest drugim – skwitowała Wadź.
- I bardzo dobrze – orzekłam pomagając Rani ułożyć się na mnie. Na jakiś czas wyłączyłyśmy się z rozmowy.

Gdy statki już dojrzały, odbył się pożegnalny koncert. Nasze filharmonie zainspirowały Gaję do kilku nowych rozwiązań, widocznych również w hodowanych przez nią okrętach kosmicznych. Planeta była zachwycona pewnymi tonami odbitej harmonii przypadkowych przemian Natury. Prócz tego pracowała nad „pagodowcami”, roślinami zainspirowanymi chińską architekturą. W zamian otrzymaliśmy obietnicę założenia na NZDelhi placówek artystycznych Gai i Ujto. Nie miało się to stać od razu, gdyż planety musiały dostosować swoją sztukę do środowiska „częściowo aktywnego biologicznie i postbiologicznie” globu. W grę wchodziło też oczywiście tempo metabolizmu, z jakim powstawała i odbierana była sztuka planet. Dla naszych potrzeb trzeba je było znacząco przyspieszyć. Skala dzieł sztuki miała drugorzędne znaczenie, bowiem na NZDelhi i jego koloniach było dużo miejsca, poza tym sztuka Gai mogła dowolnie zarastać, albo wręcz sama była artystycznym sposobem zarastania.

Dyrygowaliśmy swoimi orkiestrami na przemian, w sali Pierwszej Szkoły, która była pięknym, architektonicznym drzewem. Po raz pierwszy w życiu mieliśmy do czynienia z tak wspaniałą akustyką. Przyjemne też było wewnątrz tej filharmonii. Na ścianach, splecionych z gałęzi i liści okiennych, mogących stać się nieprzejrzystymi, wyrastały piękne rzeźby ukazujące widoki Bonn, Wiednia i NZDelhi, a także wybitnych muzyków i kompozytorów związanych z tradycją Pierwszej Szkoły po dziś dzień. Ulice drzewnych wedut żyły, widać było przesuwające się powoli powozy, chmury płynące po niebie, biegających w cieniu kamienic obszarpanych chłopców. Niekiedy dzięki efektom wielowymiarowości wypływała z pejzaży muzyka, lecz nie wtedy, gdy odbywał się koncert. Portrety kompozytorów i wykonawców zdawały się żyć własnym życiem – młodziły, starzały się, ulegały wszystkim znanym zapewne przedstawionym osobom za życia emocjom. Radości, podnieceniu, trwodze, rozpacz, lękowi, odwadze, szaleństwu, oczarowaniu, zamyśleniu itp. Nieco upiornym mogłaby się wydać jeden z owych nastrojów, który nazwaliśmy emocją roślinną. Twarz ukazana na

ścianie zmieniała się w zupełnie nieludzki sposób, zaś nasze mózgi wciąż miały jeszcze atawizm rozpoznawania twarzy, który sprawił, że w pierwszym zetknięciu z emocją roślinną czuliśmy się trochę nieswojo.

Ja otwierałam koncert, grając na winie ragę „Nicość w przestrzeni”, zaś Rani była drugą współtwórczynią tańcząc wspaniale nowy kathak, dla pełnego zjednoczenia tańca i muzyki, dla pełnej sangity. Towarzyszyło mi dwóch starannie wyhodowanych śpiewających dhrupadija, którzy mogliby śmiało powiedzieć, że wyssali trafianie we właściwe tony i wyobraźnię muzyczną z sokami matki. Na pakhaładżu grał mój przyszły następca, który był kwiatostanem roślinnym, zaś instrument był jego częścią, co bardzo ułatwiało strojenie. Oczywiście, zgodnie z wymogami sztuki, czekał na właściwy dhrupad, który miał nastąpić dopiero po rozległym alapie, budowaniu ragi, którą wraz ze śpiewakami zaczęłam ustanawiać.

(474)